



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rs. 7 kop. 20; półrocznie rs. 3 kop. 60; kwartalnie rs. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rs. 2 kop. 50; półrocznie rs. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska № 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartalnie flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

PRZY KOMINKU.

(POGAWĘDKA).



Ok Nowy i—Wiek nowy!...
Czem się zaznaczyli obaj przybysze?
A no, u nas — mrozem! Pozamarzył gaz w rurach, woda w wodociągach, że czasami spragnionych ust nie ma czem odwilżyć, ani dostatecznego światła rzucić, a nieraz i egipskie zapanują ciemności. Rozbijają więc mury dla zrobienia przystępu do rur, by je ogrzać stosownymi kagańcami, ale zaledwie zrobiony wyłom nową cegłą pokryją, mróz swoje wyprawia, światło gaśnie i ożywcza woda małemi kropelkami jeno ścieka.

Widzę w tej chwili na twarzach waszych, Szanowne czytelniczki, zdziwienie. Sto lat minęło! wiek skończył się... Olbrzymi odłam czasu, a ja zamiast przebież myśla po tej różnobarwnej przestrzeni dni i lat; zamiast, z sędziowską powagą, rozpatrzyć czyny zmarłego tak niedawno starca, grzechy jego lub zasługi wykazać, zobaczyć, jaki posiew na dzień jutrzejszy, właściwiej na wiek następny rzucił i w pożądane może prococtwo się zabawić—mówię o najwzyczajniejszym mrozie, o gazowych i wodociągowych rurach?...

Tak! poczuwam się do winy, wór pokutny biorę na siebie i stoję w obronie swojej własnej głowy.

Pisząc o owym wyżej wspomnianym starszuku stuletnim, musiałbym się trzymać łacińskiej zasady: *de mortuis aut bene, aut nihil!*

I w tem leży cała trudność zadania.

„Bene?”

Ale czyż każdy nieboszczyk wart jest dobrze wspomnienia?

„Nihil?”

Zacząłem o mrozie mówić i pewne niezadowolenie na twarzach waszych dostrzegłem—nie mam zaś zdolności do stawiania horoskopów na przyszłość.

Lecz tu, pomiędzy *bene* a *nihil* znajduje się droga pośrednia, którą jest *veritas*.

Bał ta właśnie *veritas* związuje mi usta... Nieboszczyk należy do takich trupów, który złej wzmianki o sobie nie znosi. Milcz, albo pal de tyramby.

Zatem...

Pozegnaliśmy wiek ubiegły z zupełnem zadowoleniem. Dał nam drogi żelazne, czem się niesłychanie przestrzeń skróciła; zamiast dawniejszych karczem przydrożnych, do których, podczas podróży, zajeżdżało się na popas i — jeżeli się nie miało swojego kucharza i nie wiozło się z sobą różnych artykułów żywności—musiano się zadawać jajkiem na twardo, kieliszkiem okowity i kawałkiem chleba suchego: widzimy rzeczy całkiem nowe.

Wynalazczy wiek dziewiętnasty zapobiegł niewygodom podobnym. Przy drogach żelaznych stoją wspaniałe dworce kolei, potrawy parują, trunki różne czekają na zawołanie.

Podolałwszy przestrzeni, zabrał się wynalazca do dzieła większego, bo kazał iskierce małej w lot myśli nasze przenosić na niepojętą przedtem odległość. Oczekujesz, dajmy na to, spadku po swoim wujeczno-wujecznym wuju, który na Antypody się zabrał i brząka trzosem wypełnionym dolarami. Nagle śmierć nieublagana (tak pożądana dla ciebie) zabiera go do chwały nie-

bieskiej. Ile to czasu potrzeba dawniej było, nim żaglowiec z Ameryki do Europy przybył i wieść ci tak upragnioną przyniósł. A tymczasem iskra elektryczna z elektryzowuje się w jednej chwili. Wieść dochodzi piorunem o rozstaniu się z tym światem krewniaka. Nie masz czasu leż nawet gorących wylać, unosi cię wnet rumak żelazny, a później statek parowy i nimeś westchnienie zbolalej piersi zdławił, już jesteś w Filadelfii czy Czykago i robisz kroki wstępne o pozyskanie dolarów, należących święcie do ciebie.

Możność szybkiego przenoszenia się i szybkiej wymiany myśli nie jestże krokiem naprzód ku uszczęśliwieniu ludzkości? Ale wiek dziewiętnasty nie poprzestał na tem; mając to szczęście i zadowolenie wciąż na uwadze i o innych sprawach pomyślał. Para — przenosi nasze osoby, iskra — myśli nasze, — to piękne rzeczy! ale czy nie można byłoby osobiście się rozmówić i, na odległość kilkadziesiąt milową nawet, uciąć gawędę z sobą?

A jakże—jest i to!

Udogodnienie nie zaprzeczone, a w wypadkach i zdrowiu posłużyć może.

Wyobraź sobie sytuację taką, iż, mieszkając dajmy na to, w Warszawie, na odległym jej krańcu, dowiadujesz się, iż, serdeczny twój przyjaciel, przypuśmy, redaktor takiego a takiego dziennika, uceziwej nitki na tobie nie zostawił i w „poczytnem swem piśmie” osmarował ciebie, co się zaszło. Ogarnia cię furja; wzburzenie rozdyma pierś, gniew zapala policzki. Czujesz, że apopleksja zabije, jeżeli nie dasz natychmiastowej folgi słusznemu oburzeniu, co masz na sercu, musisz wypowiedzieć mu wszystko, ostro, bez okras i z impetem. Ile by to żółci z wątroby ci się wylało, gdybyś musiał biedz do dorożki,

czekać na tramwaj, przebywać (z przeszkodami) od krańca do środka miasta przestrzeń nie małą. Zanim byś wylądował nagromadzoną energię, krew by cię zabiła, a tu stajesz przed dziwną machiną, kręcisz, dzwonisz i mówisz krótko:

- Proszę połączyć z redakcją „Krokodyla”.
- Jestem!
- Kto mówi?
- Sam redaktor.
- Ach ty taki i owaki!...

Energja wyladowuje się odrazu, następuje uspokojenie momentalne, uśmiechasz się, kupujesz żonę (jeżeli ją masz) nowomodne okrycie i idziesz z nią do teatru.

Szanowny nieboszczyk i wiele innych rzeczy na uszczęśliwienie ludzkości pomyślał. Przypomnijmy sobie jak to ludzie na początku ubiegłego wieku bili się, a jak się teraz biją? Idą naprzekład dwa nieprzyjacielskie wojska. Ażeby śmiercionośne kule mogły ich osiągnąć, zbliżają się tak do siebie, że wojacy odróżniają doskonale fizyonomię swych przeciwników. Gniew wzbiera, zęby zgrzytają, zwierzęcość wzrasta na widok adwersarzy.

— Pal! słyhać komendę...

Dym, ogień, gwizd kul...

Ale nie każda broń nabój wyladowuje; proch się rozsypał lub spalił na panewce. A co za kłopot był z nabijaniem sztucerów! Potrzeba było odgryźć patron, nabój wsypać do lufy, przybić, prochem podsypać panewkę, iskrę skrzesać za pomocą krzemienia, strzelić — i zabić. — Mitrega, niewygoda i niepewność strzału.

A teraz?

Brat brata nie widzi — dym wroga nie zdradza (a zdrada zawsze jest brzydką!) kule gwizdzą równo, gładko, człek nie ma czasu rozsierdzić się widokiem nieprzyjacielskim, jak już się sobie położył spokojnie na ziemię, zachrapał czasami, czasami drgnął parę razy, świętą matkę ziemię pokopał nogami i umilkł na czasy wieczne. To mniejsza, że ludzie się zabijają — ale jak? Cicho, przyzwoicie, bez irytacji i niespodziewanie.

Pojęcia humanitarne wzmogły się i weszły w czyn. Powstały rozmaite Towarzystwa Dobroczynności, opiekują się biednymi matkami, ofiarności publiczna pełnem korytem płynie, chorzy mają przytulisko i pomoc lekarską, obłąkani nie wafesają się tłumami po ulicach, czarownice z Łysej góry nie spływają już na ziemię i palone ogniem na stosach nie przyznają się do żadnych konfidencyjnych stosunków z djablami — więcej jest miłosierdzia niż dawniej wyroków sądowych, a że w Chinach Niemcy przypominają sobie czasy Atylli, że na ostrzach bagnatów niesie się tam kulturę europejską, że zmieniło się trochę słowa Chrystusa: „kto na ciebie kamieniem ty chlebem na niego”, że prawo Mojżeszowe „oko za oko, ząb za ząb” odżyło, że potężna Anglia nieszczęśliwych Boerów turbuje, to zwróćmy uwagę na to, że to wszystko dzieje się bardzo daleko, lecz nie w Europie, o nie! a coż posępny syn mglistego Albionu winien, że djamenty ziemi Transwaalskiej świecą pięknie i nęcą niepomiernie, lub, że źle wychowane Chińczyki nie rozumieją błogosławieństw cywilizacji, jakimi ich chce, bez ich woli nawet, Europa obdarzyć? Nerozumny dzieciak krzywi się, broni i wrzeszczy, gdy mu do buzi lekarstwo, aczkolwiek gorzkie, podajemy. Wtedy bierze się je za nos, ścisną i miksaturę się wlewa. Prawda! że Chińczyka za gardziółkę wzięto, ależ bo to paskudny dzieciak: sam nie wziąć ale i dać nie chce.

Widzimy tedy, że nieboszczyk bardzo miłą był osobą, na złe wspomnienie nie zasłużył wcale i następcy swojemu dał przykład, w jaki sposób ma interesa swoje prowadzić. My, osobiście, nie mamy s. p. Dziewiętnastemu do zarzucenia. Jakim był, to był, ale nas trochę rozumu nauczyły. Dowiedzieliśmy się, że pieczone gołąbki nie leczą do gąbki, że nikt kasztanów z pieca własnymi rękoma dla zadośćuczynienia czyjegós tam, nie wygarnia; że powietrza sitem nie na-

chwyta się, że potrzeba rozum mieć własny, a, w miarę korzystać z obcego, że najtwardszy orzech rozumna, przebiegła i cierpliwa wiewiórka, nakrywszy się bogatą kitką swojego ogonka, doskonale zchrupać potrafi.

Spotykałem ludzi, którzy się okrutnie radują z nowego wieku, jakby on nie był jednym z rozdziałów ciekawej książki, dalszym ciągiem powieści, interesującej bardzo swoim romanssem wszechludzkiem, którego końca w żaden sposób przewidzieć nie można, bo powieść jest długa, jak wieczność, bo fabuła najdziwniej się płacze i coraz więcej, a nielatwych do rozwiązania, zagadek następuje.

Zaniosłem Wam życzenia podczas Świąt Bożego Narodzenia, ale opóźniłem się z życzeniem Noworocznym i Nowowiecznym. Okażą się nawet źle wychowany, bo Wam życzyć nie wcale nie będę. Bo po co to rzucanie słów na wiatr? czy je kto chwyci, ucielesni i wam w podarunku przyniesie. Ach! gdyby tak było, tobym się nie zawahał wam urągać od szczęścia. Lecz słowa przebrzmiały, przeleciały i tyle po nim śladu zo stanie, co po uderzeniu wiosła o wodę, co po locie ptaka w powietrzu po zwodniczem wołaniu echa. Wiecie zresztą, że źle, ani Wam ani nikomu nie życzę. Jesteście szczęśliwi, pozostańcie i nadal szczęśliwi; smutek wam tłoczy serce, zagłuszcicie go pracą i spełnieniem obowiązków ludzkich; wyplakaliście już łzy wszystkie, to pomyślcie o tych, którzy płaczą jeszcze, lecz nie wątpie nigdy i nikomu wiary nie odbierajcie, choćbyście nawet sami ją utracili. Oto moje życzenia — najszczerze.

Ale zacząłem od mrozu i muszę do mrozu powrócić:

Zimno — i to porządnie, jeno zima poskapila nam śniegu, smutnie więc poruszają głowami rolnicy, bo ziemia nieprzykryta śniegiem nie utuli ziarna, które przemarznąć może i marny plon wydać. Zimno zresztą dwakroć przykrzejszem się zdaje bez tej osłony śnieżystej a i miasto wygląda ponuro, choć karnawał już się rozpoczął, przyznać jednak potrzeba, że jakoś niezbyt hulaszczko i ruchliwie. Warszawa jednak powinna korzystać, bo zapusty są krótkie.

Jak zresztą będzie nie wiem, wiem to tylko, że Wam wyczerpujących sprawozdań z balów i wieczorów tańczących nie przyniosę, bo zamierzam niezwykle cicho czas karnawałowy przepędzić, oddany pióru, które mi się rozmachało tego roku i — jakkolwiek nie pora po temu — marzę już o ucieczce letniej z Warszawy, nie czując potrzeby nigdy jeszcze, tak jak teraz — natury i jej ukojeń. Wciąż mi się śni wiosna jakaś, może właśnie dla tego, że *moja* już odleciała; gwar miasta coraz przykrzejszy mi się staje i rad byłbym wypadkowi jakiemuś, któryby mnie ztąd wypędził daleko, daleko gdzieś, albo nad brzegi rodzinnego Dniepru, albo do źródeł Wisły rodzimej.

Źródła Wisły coraz bardziej uczęszczane stają się. Na stały tam pobyt wyjechał Julian Ochrowicz, ach! jak mu zazdroścę, jak zazdroścę tej podróży! Znam te źródła, znam te wzgórza precudne, czar lasów świerkowych, szum wodospadów, i ludów piastowski. Ale jakiś balsam z gór tamtych spływa, jakiegoś ukojenie serdeczne, coś, co daje spokój, spokój i spokój... Raz nareszcie wyrwać się z gwaru i ciżby, oto życzenie moje, dla siebie samego. Wprost lęk mnie ogarnia, że reszta pozostającego życia w murach miasta mi przejdzie.

Ale po co Wam o tem mówię? Nie gniewajcie się mili moi, przecz gawędziny sobie przy kominku siedząc.

Ogień pryska... Czary! czary!

W tym płomiennym ognia błysku —

Widma snuje się i mary,

Tonę w lubym ich uścisku.

Zaczemś tęsknę, o czemś roję,

Fale myśli przepływają —

Zmartwychwstają światy moje,
Sny lat dawnych zmartwychwstają.

Jak inaczej serce biło,

Ile czaru i ukojeń!..

Nie z tych snów się nie wyśniło,

Nie zostało nic z tych rojeń!

Tyle wspomnień!... Precz pamięci!

Bo okrzykiem żal wybuchu —

Zmarnowane dobre chęci,

Zmarnowane skarby dawne.

Zszarzał obraz malowidła,

Który niegdyś duszę nęcił —

Złamały się lotne skrzydła,

Wiatr je splątał i wykrecił.

Zamiast tęczy — nitka szara,

Nikła bańka z mgły wydęta —

Tylko wspomnień złota mara

Jako wizya stoi święta...

A to co?...

Knę się na zbawienie swej duszy, żem o ry mach nie myślał w tej chwili — niewołane same z pod pióra wybiegły.

Zmazać czy zostawić?

To już od was zależy.

Podobają się — zostawcie! nie — inkaust pod ręką się znajduje.

Pisałbym dalej i gawędził już rymami, ale boję się, żebyście nie przekleli pieśniarza. Przecz wiadomo, że najczęściej klątw na głowy pieśniarskie spada, bo lubią śpiewać o sobie; oto samolubstwo niesłychane. Wprawdzie ktoś powiedział, że to śpiewanie o sobie i was się zarazem tyczy, boć przecie macie te same uczucia, pragnienia i pożądanja. Z nizin jednak kronikarskiej pogawędki na Parnas skoczyć — to może za wiele. Jeżeli wy się nie obrażicie, obrażą się Muzy i odmówią mi jeszcze pomocy swojej, ja zaś chcę w zgodzie żyć z niemi.

??

SARYUSZ.

WIEŻY DUCHA

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

I pociągnięty jej świeżością i urokiem brał ją w objęcia, ale w niej jak w spłoszonym ptaku tłukło się serce i cała spłoniona drżała mu w ramionach.

A on powoli, niechcąc jej straszyc odsuwał się od niej, zresztą oswoił się już z jej urodą i nie robiła ona już na nim żadnego wrażenia, a rozdział ich myśli, pojęć, upodobań oddalał go od niej coraz więcej.

Czasem jeszcze próbował śpiewem się rozerwać. Żona mu akompaniowała, a on ją poprawiał z pobłażliwym uśmiechem. Wkrótce jednak do fortepianu coraz rzadziej zaglądać począł, a i ona wychodząc z biegiem czasu z wprawą, nie namawiała go, obawiając się, że go nie zadowolni i rozdrażni.

A on czuł, że drobne codzienne obowiązki pohaniają go, że od nich ma głowę jakby w żelaznej obręczy, garło boleśnie zdławione, więc też śpiewać nie próbował i to co mu było dumą i szczęściem kładł w grób powoli.

Tylko do słodkiej, biednej ptaszyny czuł żal coraz większy i ją czynił odpowiedzialną za wszystko, co w nim marnie ginęło.

Ona umiała kochać ludzi—on kochał przyrodę, sztukę i piękno. Ona była słodka, pobłażliwa, on niesłychanie wrażliwy i pełen żalu za niespełnionem, więc ona za nim podążyć nie mogła, bo nie była zresztą ani na wysokości jego umysłu, ani rozbijała wyobraźni.

A on, nie mając z kim życia podzielić, myślał z goryczą:

— Jednakże to smutne, aby ta: ona, do której drży serce w piersi mężkiej, mogła być w najlepszym razie jedynie rozrywką po pracy. I to nie może być, aby myślącemu człowiekowi wystarczyło ładne cacko do zabawy.

I rozdrażniony biegł w pole i wsłuchiwał się w głuchy szum boru i w mocowanie się wichru z drzewami i ścisnął dłońmi rozpalone czoło i myślał.

— Tak, ta ziemia mi będzie wszystkim. Ona mi jest matką, bo mnie wykarmiła i żoną, bo jej wierność przysięgam i kochanką, bo ją miłuję i dla niej znoszę tyle ofiar i udręczeń.

A żona tymczasem stawiała się wobec niego coraz więcej skępowaną. Zdawało się, że zajmuje miejsce tylko dla wypełnienia jego zleceń.

Bo pan Bohusz nigdy bezpośrednio nie wydawał rozkazów swej służbie domowej, ale zawsze za pośrednictwem żony. Służbę domową rzadko kiedy zaszczylił słowem lub spojrzeniem, tem więcej drżała ona przed nim. W podwórzu nikt nie usłyszał jego krzyku, był on tam zawsze wielkim panem, wytwornym człowiekiem, a jednak służba nauczyła się czytać w jego oczach. Jego spojrzenie było rozkazem, było też nagrodą i karą — a przed tą karą, przed tym gniewnym wzrokiem truchleli wszyscy.

Widma wydalania lękano się wyjątkowo, bo służbę w Bohaturce ceniono bardzo. Pan bowiem słynął z akuratności w wypłacie, nigdy danego słowa nie cofnął, danej obietnicy nie zaniechał, a przytem tak wspinałomyślny i ludzki, że dzień roboczy był u niego krótszy niż gdzieindziej, a odpoczynek dłuższy. Na to jedno mógł sobie pozwolić.

W pokoju za to, gdy był upojony trunkiem, bo wkrótce stał się on dla niego rodzajem wody letniejskiej, w której szukał zapomnienia, a wpadł w gniew, nikt nie mógł bez przerażenia patrzeć na błyskawice jakie ciskały jego oczy i na pustkę jaką wtedy szerzył dookoła. Bo nie tylko ludzie rozbiegali się na wszystkie strony, ale on sam jak bożek wszechwładny tworzył dookoła siebie zniszczenie i zagładę.

Żona początkowo włóczyła się u nóg jego, błagając o spokój, później widząc że to się na nic nie przyda, patrzyła osłupiałym, obłąkanym wzrokiem na wszystko, co się kruszyło w jego rękach, miażdżyło pod jego stopami lub rozbijało o jej osobę. Bo choć pan Bohusz ręki na żonę nie podniósł, przecież miała niejednokrotnie rany od przedmiotów, którymi w nią ciskał.

Był to sposób bicia zapewne wytworniejszy.

Była jednak na świecie mała istotka, która miała czarodziejską moc, na twarz tę chmurną lub gniewną wywoływać blask uśmiechu i gorący płomień zapalać w mrocznych żenicach.

Była to ich jedyna córeczka, Hania. W miarę upływających lat, dziecię to stawało się bóstwem posępnego człowieka.

A dziwne to było dziecko. W przepaścistych oczach miało wyraz cichego smutku, na czole powagę cierpiącego człowieka.

Bo też nad domem tym ciążyło prawdziwe nieszczęście, a dziecię przedwcześnie rozbudowanym instynktem czuło mocno to skrzywienie moralne z braku rodzinnego ciepła w domowym ognisku.

Przedwcześnie troska zwarzyła jej dziecinne lata, w zaraniu życia poznała się z tem, co oburza, co boli. W latach, w których serce się budzi, kochając wszystkich i radując się całemu światu, dziecię, zacząwszy zaledwie myśleć, cierpieć zaczynało.

To też oczy tego dziecka były dziwnie, przejmująco głębokie i smutne i jakby ździwione, bo dziwiło się ono tym płomieniom gniewu, co strzelały z gorzących źrenic ojca i tym łzom bolesnym, a cichym, co płynęły z łagodnych oczu matki i temu, że wtedy, gdy inne dzieci bawią się i wesela, ją boli biedne, małe, udręczone serduszek.

A nie było tygodnia aby nadmiar energii i sił życiowych pana Bohusza spotęgowanych przez skrywane cierpienia nie znajdował ujścia w szalonym gniewie. Nie było niemal dnia, ażeby „cudowny napój” nie wprawiał go w stan błogiego rozmarzenia lub też za najmniejszym powodem, wściekłości.

Wkrótce jednak Małgosia, poczciwa Hani piastunka, poznawszy słabą stronę swego pana, znalazła w dziecku zapórę przeciw jego wybuchom. Odtąd gdy posłyszała tylko głos podniesiony, brała Hanię za rączkę i przed ojca wiodła. Pamiętała ona jak pewnego razu wpadła na ratunek swej pani z czteroletnią naówczas dziewczynką, a sama wobec tego moczara bezsilna nagłą intuicyją wiedziona, szepnęła dziecku.

— Proś za mamusią, ukłęknij.
I dziecko postąpiło naprzód, ale harde do nóg się nie osunęło, prosić nie chciało—tylko dreszcz od stóp do głów wstrząsał drobnem ciałkiem maleńkiej, a różowe piastki zaciskały się kurezowo.

— Tatusiu — ozwała się wreszcie — bij Hanię, bij... ale mamusi mojej nie ruszaj!..
Głosik był cichy i drżący, a jednak ojciec pochwylił jego dźwięk srebrzysty i o dziwo! zapłakana piastunka ujrzała jak straszny ten człowiek w jednej chwili pochylił się do dziecięcia.

— Dziecino ty moja — szepnął rozrzuwiony — jabym cię bić miał? Ciebie?!

I długo, długo potem usta, co drgały gniewem, szeptały coś pieszczotliwie, a ramiona obejmowały maleńką gorąco, namiętne.

W tym to czasie sąsiad, który wraz z swą córeczką wpadł za jakimś interesem do pana Bohusza wysłuchał następującej rozmowy.

— Więc ty się nigdy nie bawisz? — pytała się Hali córeczka sąsiada, jej rówieśnica.

— Nie — odparła Hala.

— Nie masz zabawek?

— Mam dużo. Ale nieumiem i nie mam ochoty się bawić.

A po chwili spytała.

— Czy twój tatuś często się gniewa?

— Nigdy! Mój tatuś taki dobry.

— A mamusia czy często płacze?

— O! mamusia taka wesoła.

— A widzisz. To ja pewnie dlatego bawić się nie mogę, bo moja mamusia... płacze.

I z biegiem czasu coraz częściej dziecko to wśród stosu zabawek siadało zadumane i myślało nad tem, że przecież przyjdzie taki czas szczęśliwy, że ten tatuś, dziś taki groźny, zestarzeje się i straci siły i wtedy nikt go się już lękać nie będzie.

I myślała z rozkoszą o tym czasie, w którym schorowany starzec stanie się bezbronnym i nieszkodliwym. Ale na myśl, że jednak zanim to nastąpi, dużo jeszcze łez popłynie z oczu matki, biedne, małe jej serduszek ścisnęło się nieznana żadnym dzieciom boleścią, a śliczna twarzyczka zalewała się łzami żalu, oburzenia, gorzkimi łzami rozpacz.

A miała Halinka chwilę taką w swem życiu, co jej się krwawymi zgłoskami wyrzyła w dziecinne serduszek i o której nigdy już potem nie miała wspomnieć bez bólu.

Było to po zaszłej awanturze. Przed dwór zajeżdżały konie mające powieść swego pana do pobliskiego miasteczka. Zmrok już zapadał, pomimo to nikt go nie zatrzymywał, każdy oddychał nadzieją spokojnego wieczoru. On też przez nikogo nie żegnany, na ganek wybiegł i w chmurze milezienia do drogi się zbierał. Opodal stanęła pani Marya z czerwonymi od płaczu oczyma, gotowa do odebrania rozkazów. On jej jednak słowa nie rzucił, tylko schodząc już ze stopni odwrócił się nagle i Hanię, do kolan matki

przytuloną, na ręce wziął, gorąco ucałował i do piersi przycisnął. Potem do pojazdu skoczył i wkrótce zniknął im z przed oczu.

Matka i dziecię długo jeszcze stały na ganku. A noc to była przepyszna, cicha, pogodna, od gwiazd jaśniejąca i wonna od kwiatów zapachu, bo kwiaty otwierały swe senne kielichy do nocy tej letniej, rozśpiewanej, rozmodlonej, dyszącej tą wonią i miłosną pieśnią wszechstworzenia.

Noc taka musiała lać spokój w stroskaną duszę człowieka, a jednak młoda kobieta miała wyraz bezbrzeżnego smutku na twarzy, a mała dziewczynka patrzyła błyszczącym wzrokiem na drogę, z kąd słychać było jeszcze słaby turkot odjeżdżającego. Nagle poruszyła się i z cicha osunęła u stóp matki na kolana, a wznosząc złożone rączki i rozmodlone oczy ku gwiazdzystemu niebu, zawołała:

— Boziu! mój Boziu! spraw niechaj tatko już do nas nie wraca! żeby już mamusi mojej nie dokuczał!

Przerażona matka z krzykiem rozpacz rzucała się ku klęczącej, jakby ją broniąc od złego i zaczęła tulić w ramionach.

— Dziecko! Haniu! coś ty powiedziała?

Gwałtowne łzy słowa jej przerwały.

Dziewczynka objęła szyję matki drobnymi rączkami, położyła jasną główkę na jej ramieniu i powiedziała.

— Nie płacz, mamol! nie płacz...

Chciała dodać:—Już on nie wróci i dokuczać ci nie będzie,—ale nagłym instynktem dziecięcym pojęła całą groźbę tych słów i wznosząc główkę z pocieszaniem przeświadczeniem swej siły—dorzuciła:

— Nie płacz, ja ciebie obronię!

Biedny kto u dziecka szukać musiał własnej ochrony! Stokroć biedny kto takimi modlił się słowami!

Pewnego razu, będąc już znacznie starszą, wysłuchała Hania jak rodzina matki, posłyszawszy coś widocznie o postępowaniu ojca, usilnie na matkę nalegała zaczęła, aby wraz z dzieckiem porzuciła męża, gdyż z swego posagu zahipotekowanego na majątku utrzymać się będzie mogła. Matka jednak nie tylko, że się oburzyła na myśl podobną, ale zaczęła bronić ojca, wychwalać jego dobre strony, złe przedstawiać w innym świetle, a we wszystkim, co mu zarzucano, przyjmować winę na siebie.

Hania słuchała tego z bijącym sercem. Ona to już rozumiała, że była to anielskość której nikt dostatecznie ocenić nie potrafi, że była to wzniosłość. Więc stała z pochylonem czołem, zdumiona, przejęta i myślała: więc to tak żyć potrzeba, tak cierpieć bez słowa skargi w milczeniu i tak wciąż przebaczać...

I zdało jej się, że tę postać matki otacza blask równy świętym, że nad jej czołem męczeńskim lśni takie samo koło świetlane.

Ale im więcej matka rosła w jej oczach, tem większy bunt i żal do ojca podnosił się w jej serdusku.

— Mamol! mamol! — szlochała pewnego razu po zaszłej awanturze — uciekajmy! Po co nam cierpieć i wciąż się lękać, wszak mama posiada własne pieniądze. Mamusiu najdroższa, odjedźmy od taty!

A matka tuląc ją do siebie i zraszając łzami jej jasne włoski, mówiła:

— Dziecino moja, ty tego nie rozumiesz, ale widzisz, żonie nie wolno opuszczać swego męża, odrywać dzieci od ojca. Kościół tego zabrania. Nie wolno nigdy, choćby mąż był najgorszy, a twój tatuś zły nie jest, tylko bardzo biedny.

— O nie — upierała się dziewczynka — tatuś jest zły, jest bardzo zły. On przecie gnębi mamusię.

— Tatuś jest sprawiedliwy, tatuś rządzi się rozumem, to tylko kobiety rządzą się sercem. I widzisz moje dziecko, tatuś ciebie tak bardzo kocha, więc jakżebyś ty go porzucić mogła. Nie myśl o tem nigdy, nigdy dziecino.

— Czy to każda żona tak cierpieć musi od swego męża, mamol?

— Kobiety cierpią daleko więcej w życiu niż mężczyźni, moja Haniu.

— O! to ja już zamąż nie wyjdę, moja mamusi. Za nie, za nie! Bo ja nie chcę być nie-szczęśliwą. Ja bym nie umiała tak znosić, tak cierpieć. Ja bym nie mogła tak, moja mamó!

A matka słysząc to, płakała.

III.

„Jak jedyną tu koroną
Wylać ducha na miliony
Ciałom wszystkim rozdać chleba
Duchom wszystkim myśli z nieba,
Nie nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół,
Iść przez duchów podniesienie,
Bo cel światów, szlachetnienie”.

Kasiński.

Mijały lata. Halinka wraśćiała od troski domowej smutna i blada, pani Marya postarzała się i nieco zwiędła—zresztą nie się nie zmieniło. To samo opędzanie się od wierzycieli—te same obawy utraty majątku, te same burze, co zabierały z sobą spokój, ten najniższy gatunek szczęścia i ta trwoga paniczna przed rozszalałym panem a władcą.

Zimy nadciągały i spowijały ziemię całunem bezbarwnego nieba, zimy śnieżne i błotne. Ale Sokolnicki stworzył sobie zakątek, gdzie nie czuć było tej martwoty.

Całe mieszkanie w Bohatyrce skromnie było urządzone, ale jego gabinet posiadał dużo dzieł sztuki, które kupował n wet będąc na uniwersytecie z uszczerbkiem nie tylko swych wygód, ale i zdrowia. W jego pokoju pełno było obrazów, rzeźb, posągów, kwiatów, wazonów, gobelinów, bo jego oko musiało się pieścić barwami i wytwornymi kształtami. Jego albumy musiały posiadać kolekcję piękności, a ściany musiały być pokryte przedmiotami sztuki.

Tutaj to rozciągnięty na niskiej dywanowej otomanie, pokrytej białą skórą niedźwiedzią wszystkie wolne chwile przepędzał.

Tam na dworze śniegi pokrywały łany malownicze, chmury przesłaniały cały horyzont, a ponure lasy mocowały się z wiatrami, ale tu w jego gabinecie pięły się bluszcze, kwitnęły róże, pachniały fijołki, goniły się złote rybki w akwariach i z cicha szemrała pokojowa fontanna.

A on napawał się tą wonią, słuchał szmeru wody, wpatrywał w cudne postacie niewieście i myślą tworzył arcydzieła.

Jakieś cudowne wizje stawały mu przed oczyma, a on je urabiał i najczęściej wyłaniał z siebie na płótno, a choć malować się nie uczył, miał, jak wszyscy tego rodzaju ulubieńcy bogów, duże zdolności w tym kierunku.

I nieraz żar bił z jego źrenic, bo rozumiał, że wpada na dobrą kombinację barw, że chwytą to i czuł, że dusza jego przepelniona potrzebuje ujścia, a głowa oswobodzenia od tych mar cudnych i serce mu drżało w upojeniu.

Czuł, że musi tworzyć, tworzyć żywiołowo, choćby dla tego, aby swój system nerwowy oswobodzić od napięcia.

Wtedy najczęściej drzwi otwierały się z łoskotem i sapiąc wtaczał się ekonom po dyspozycje lub zjawiał się parobek z jaką alarmującą wieścią.

— Proszę dziedzica — pytał pewnego razu ekonom — czy od południa młócić się dalej będzie?

Bohusz zbudzony ze swych marzeń drgnął, zmarszczył czoło i pomyślał z rozpaczą dlaczego ta skomplikowana maszyna gospodarza musi stać w ciągłej kolizji z jego artystycznymi polotami i dlaczego nie pozwoli mu ani na chwilę takiego słodkiego zapomnienia.

Bo tak było zawsze.

Pohamował się jednak prędko i rzekł:

— A jakże, przecież była wydana dyspozycya na cały dzień.

— Tak, proszę dziedzica, ale może by lepiej zboże odstawić?

— Ach, prawda. Toż to dziś termin. Dobrze, żeście mi przypomnieli. Nie rozumiem, jak mogłem zapomnieć. Toż przecie niesłownymi jeszcześmy się nigdy nie pokazali.

— To też ja se tak kalkulowałem.

— Chłopcy niech poganiają w kieracie, a parobcy niech jadą ze zbożem. A wy już idźcie.

— Dobrze, wielmożny panie.

Bohusz przesunął ręką po czole. Było mu tak, jakby spadł z wysokiej góry w zimną wodę i otrzeźwiał. Wzdrygnął się, ale zaczął nawiązywać przerwana nić marzeń i gonić rozpierzchłe wrażenia. I gdy mu się to już powoli udawać zaczęło, drzwi nieśmiało uchyliły się i do pokoju wsunęła się rozczochrana głowa parobka.

— Proszę wielmożnego dziedzica, kierat się popsuł.

— A niechże cię licho porwie! — zaklął pan Bohusz i zerwał się.

— Ekonom da wam robotę. Ruszaj z Bogiem.

Chłopak cofnął się wystraszony, ale po chwili znów wsunął głowę.

— Zapomniałem pedzić, że kupcy przyjechali po zboże i czekają przed gankiem. Pytają się czy przyjść mogą?

Sokolnicki nie nie odpowiadał, twarz mu się mieniła, aż w końcu przez zęby cisnął.

— Niech wejdą.

Ale gdy to mówił w jego oczach błysnęło coś naksztalt buntu i rozpaczy, pierś mu przytłoczył ucisk i człowiek ten przed chwilą pełen zapału, natchnienia i polotu stawał się teraz ciężkim, apatycznym, bezradnym.

Rękoma głowę objął i patrzył sępym, martwym wzrokiem bezmyślnie, czując jak go odlatają wszystkie myśli promienne wysnute przed chwilą i jak wstępuje nań smutek ciężki, ołowiany i taka szara, dojmująca troska.

Weszli żydzi, on im na powitanie w milezeniu głową skinął i ciężko rzucił się na fotel, a gdy po dwóch godzinach blisko targów, rachunków, oznaczania terminów, omawiania kontraktu powstał od biórka, czuł się zupełnie wyczerpanym.

Więc ujął za klamkę i ciężkim krokiem wszedł do jadalnego pokoju, lecz stanawszy na progu zatrzymał się i gorzki uśmiech wybiegł mu na usta.

Przy stole z głową wspartą o książkę spała błogim snem jego żona.

Pani Marya książek nie czytywała. Brakowało jej na to czasu i swobody myśli. Umysł jej był skolatany i jakby ciężarem troski przygnieciony, a przytem wiecznie zalekniiony. Jeśli wzięła czasem jaką powieść do ręki, sto razy rzucić ją musiała, odrywana do swoich zajęć, a gdy się uspokoiła najczęściej wyczerpana zasypiała nad książką.

Budziła się też zawsze wystraszona, bo najczęściej za pierwszym spojrzeniem spotykała utkwione w nią czarne szydercze źrenice.

I teraz jakby pod ich dotknięciem przebudzona zerwała się zalekniiona i zmieszana, bo w tych oczach, co nie schodziły z jej twarzy, czytała wyraźnie.

— I komu się też to brać do książki, śpi dusza w popiele, śpi.

Ach te oczy czarne, palące, co ją onieśmielały tak bardzo! Jakże ona ich się lękała! Jak stawała się małą i śmieszna pod ich spojrzeniem.

— Czy może potrzebujesz czego?—sytała nieśmiało.

On wzgardliwie odparł.

— Od ciebie?!... Niczego.

Wzruszyło go jednak jej zakłopotanie i zaleknienie i myślał.

— Jednakże zkąd ta kobieta znajduje w sobie tyle odwagi, aby mnie się sprzeciwiać i na mój gniew narażać wtedy, gdy chodzi o wstawienie się za kim, lub wyratowanie kogo, ona tak względem mnie onieśmielona, ona, co w towarzystwie nawet głosu w mojej obecności nie zabiera.

I jakiś głos w głębi mu szepnął.

— W anielskim sercu—w kobiecej tklivości. Ale on głos ten zagłuszył i myślał z goryczą:

— Cóż z tego, moja żona zajmuje obok mnie miejsce jedynie dla wypełniania moich rozkazów; dla służenia na moje skinienie. Mój Walek i mój karbowy zadawalniają mnie w ten sam sposób.

I nie rzuciwszy jej ani słowa do lasu biegł, bo bunt w nim wrzał.

Jemu pogańskiemu czcicielowi piękna, bałwochwalcy wiedzy chciało się słońca w tym szarym mroku codzienności—więc szalał.

I całe życie tłumić ma w sobie potęgę, której jest świadom, głos ten co go może między mocarzy ducha postawić, wybrańcem Bożym uczynić? I całe życie tłuc się o ściany tej klatki jak zwierz, a w dali widzieć ulatujące sny jego złote?...

Przec są na szerokim świecie cuda przyrody i sztuki. Może by one ugasiły w nim tę gorączkę, co go trawi, uspokoiły tęsknotę, co go kędyś ciągnie i nakarmiły duszę spragnioną i głodną...

A gdy tak targał się ze swemi pętami poruszała się cicha dąbrowa i w nagle rozszepnanym, rozkołysanym boru świerk wysmukły podawał pieśń dębom olbrzymom—pieśń, co go powalała u ich stóp.

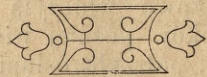
I gdy ta pieśń szła po wierzchołkach u konarów dębu—lasu mocarza, kajała się biedna dusza człowieka.

Czego bo on w tej pieśni nie słyszał! Przechodziły i nad nimi wichry i burze, a one urągały im. I nie powaliła ich nawałnica żadna. I szumią wciąż jak szumiały, choć pieśni ich nikt nie rozumie, a może i nie słucha nikt. I szumią i pieszczą się swym głosem, z każdym rokiem więcej wyniosłe i dumne.

Nie! od pieśni tej, co po boru idzie uciec by on nie mógł, ani jej zapomnieć. Szła by ona na krańce świata za nim zwyciężka. Tą pieśnią wykołysał się w dzieciństwie, ta pieśń podnosiła w nim ducha, poruszyła w nim zamarte serce, gdy tu z żoną swoją wjeżdżał i teraz łagodzi jego smutki, bunt i porywy... I miałby teraz porzucić te stare olchy i dęby i świerki i iść?... Nie! im krzywdą stać się nie może żadna, one niespożyte w spokoju stać muszą, a śpiewać..

I niemasz na świecie całym takiej chwili upojenia, w której by on za szumem tym nie zatęsknił, ani takiego kochania, którego by dla tej dąbrowy nie rzucił. Toż te szumy z duszą mu się zrosły i uczyniły ją taką wrażliwą i taką bogatą, choć nieszczęśliwą i biedną.

(Dalszy ciąg nastąpi).



PRZĘDZA.

Snuj przędzę z serca, przez trud i cierpienia—

Miłość w ciemnościach zaświeci...

Snuj przędzę z głowy, woli i sumienia —

Prawda zasadzki przeleci...

Snuj przędzę z marzeń, życia i natchnienia —

Pieśń jest mieszkanką stuleci...

Ty znikniesz, Ona w przyszłe pokolenia —

Rozprzędzie wspomnień twych sieci...

Szczesna.



Ruch muzyczny.

Koniec XIX stulecia w naszym świecie muzycznym zamknął się wspaniałym uczczeniem pamięci nieśmiertelnego Moniuszki, z powodu 500 przedstawienia „Halki”.

Stanisław Moniuszko zasłużył sobie na ten obław czci powszechnej, a ogół, składając mu hołd należny, dowiódł, że umie być wdzięcznym dla swoich mistrzów.

Wdzięczni jesteście Moniuszce przedewszystkiem za „Halkę”, bo ona istotnie jest „początkiem” i końcem naszego dramatu lirycznego „Halka”, to „wyraz żywy uczuć i namiętności, prących w danej chwili ludzi do czynu: to już nietylko charakterystyka zewnętrzna znamion temperamentu za pomocą rytmu odpowiedniego, ale i ujawnienie energii utajonej w duszy działaczy, za pomocą melodyi dostrojonej w napięciu drgnień i fali dźwięków do tonu wewnętrznego uczuć czy namiętności”.

Słusznie powiada prof. Sygietyński, że pod tym względem wszystkie opery Moniuszki w porównaniu z „Halką” bledną, a z oper innych kompozytorów jedynie „Goplana” Żeleńskiego, z uwagi na nastrój dramatyczny partyi Balladyny, obok niej w pewnej mierze ostać się może.

Ten sam estetyk mówi, że gdy Chopin jest malarzem - impresjonistą, który pod wpływem wrażeń chwilowych, wesółych czy bolesnych, czarujących czy ponurych — rzewnych, czy tragicznych — oddaje się cały tym wrażeniom — i wyraża dźwiękami to, czego żaden poeta nie zdołałby już oddać słowami, czego żaden malarz nie umiałby zakłać w formę obrazu, Moniuszko jest poetą-śpiewakiem, któremu wszystko: krajobraz, słońce, dzień, czy noc, zorza wieczorna, czy poranna, życie, praca, zabawa, obyczaje, uśmiechy, łzy, rozkosz, ból, dramat — słowem cały świat zewnętrzny i wewnętrzny przemienia się w sercu w pieśń.

Moniuszce wszystko śpiewa: las, rzeka, pole, blonie, chata chłopska, dwór szlachecki, ranek czarodziejski, kościół, uroczystości weselne, obrzędy pogrzebowe, marzenia, orszaki rycerskie, wspomnienia, korowody taneczne...

Wszystko to zgromadził, zebrał i wyśpiewał w „Halce”.

To też za nią publiczność polska wieńczyła Moniuszkę na przedstawieniu jubileuszowym w d. 9 grudnia 1900 r.

Kto dla braci najbogaciej
Czerpał z pieśni czar,
Ten wdzięczności potomności
Bierze za to dar...

Takie słowa Piotra Maszyńskiego płynęły do stóp posągu Mistrza w ów niezapomniany dzień jubileuszowy.

Reżyserja opery: p. Józef Chodakowski wraz z pomocnikiem swoim p. Hilarym Dylińskim, naszkicowała i wykonała przebieg uroczystości w sposób przynoszący jej zaszczyt.

Dyrekcja teatrów nie szczędziła nakładu, który dał świetny pod każdym względem wynik: podniósł zewnętrzny blask przedstawienia i pociągnął do teatru tłumy, które długo jeszcze będą do Teatru Wielkiego na „Halkę” uczyć się.

Nie można również pominąć pracy dyrektora Młynarskiego, który świetnie dzieło opracował i podczas jubileuszu poprowadził.

Na środku sceny stał wśród zieleni piękny biust Moniuszki, dłuta p. Stanisława Ostrowskiego. Ku tej natchnionej Głowie Mistrza zwracały się oczy wszystkich na tę głowę — sypały się kwiaty i spadały wieńce z wawrzynu.

Po nad nią zaś unosiła się gloria nieśmiertelnej Sławy...

Do stóp poety tonów szedł barwny korowód bohaterów Moniuszkowskich z dziewięciu oper jego: „Hrabiny”, „Flisa”, „Verbum nobile”, „Parji”, „Straszego Dworu”, „Beaty”, „Jawnuty”, „Widm” i „Halki”.

Wieńce złożyli także u stóp Moniuszki artyści włoscy, goszczący na naszej scenie.

Po Apoteozie — w której wzięła udział i publiczność, rzucająca nieskończoną ilość kwiatów i wieńców — odbyło się 500-tne przedstawienie „Halki”.

Bohaterką jest naidealniejsza wykonawczyni roli tej — p. Salomea Kruszelnicka.

Znakomita artystka wskrzesiła wykonaniem swoim tradycję pierwszej wykonawczyni roli „Halki” na naszej scenie (w d. 1 stycznia 1858 r.) Pauliny Rivoli.

A w sali Teatru Wielkiego, w łoży pierwszej piętra siedziała staruszka, przedstawicielka „Halki” ze sceny wileńskiej, Walerja Rostkowska, którą dziennikarz p. Z. J. Naimski, w przytułku wyszukał i gorącym słowem w „Kurjerze Warszawskim” opiece publiczności polecił.

Moniuszko więc na końcu ubiegłego stulecia tryumfował u nas obok Henryka Sienkiewicza — i porwał wszystkie serca, pieśnią swoją je przepełnił i wzruszył.

A. Dobrowolski.



Wanda Grot Bęczkowska.

ANIMA VAGANS.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

24 Października.

Piszę w jakiejś dziurze podobnej kształtem do fortepianowego pudła.

Jedno, jedyne okno o zadymionych szybach przepuszcza wązki promień światła, tak skąpy, że cały ten pokój nazwany przez panią Maryę salonikiem, robi wrażenie nory.

Przyjechaliśmy wczoraj, nie wiedząc, że ojciec się przeprowadził na Twardą ulicę, tak wstrętną, jak wstrętniemi są te małe, pozbawione światła pokoiki.

Jestem zrozpaczoną, bo jak się to wyda mojemu Edwardowi po jego słonecznych, pięknych komnatach? „Mój Edward...” Ach, w tem określeniu mieści się cała potęga mej miłości, cała rozkoszna świadomość posiadania „Mój...” I czy ja przypuszczałam kiedykolwiek jaki bezmiar szczęścia mieści się w jednym, małym słowie i jak wszystko jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zmieni się we mnie.

I teraz lżejsze mi już moje sieroctwo, lżejszą tęsknota i świat cały tonie w jasnych barwach. Chwilami, wydaje mi się, że śnię...

„Jabym tak pragnął: „Taką, jak ty, mieć moją — na ziemi...”

Cudnej harmonii tych słów nie już w pamięci mej nie zatrze.

U wstępu do domu, doznałam okropnego, przynębiającego wrażenia.

Objawwszy wzrokiem wszystko dokoła, Roma powiada do mnie:

— Jestem jak paralytyk. Odjęło mi wszystkie członki!

I uciekła gdzieś w ką, a ja tak byłam zboleła, że jej nawet nie szukała.

Przyjechaliśmy kiedy wszyscy zgromadzeni byli przy herbacie.

Jak rażąco uwydatnił się kontrast tego rodzinnego zebrania.

Ojciec ledwo się przywitał z nami. Wydaje się mocno przygnębionym i postarzałym.

Pani Marya skwitowała widocznie z wszelkich pretensji do urody i młodości, wpadając z jednej ostateczności w drugą.

Nieuczesa, w przybrudzonej szlafroku, bojąc, że z twarzą, która wody i mydła nie widziała od dni kilku, karmiła flaszczyką swego malca. Dzieciak wyrzucał mleko i krzyczał w niebogłose; nie zwracała na to uwagi.

Przy tym melodyjnym akompanjamentem, Jerzyk z Halą wyrwali sobie skórę od pomarańczy; ojciec nastrojając się do ogólnego tonu, cały, ulubiony swój słownik przekleństw rzucał pomiędzy nich, z czego jednak oswojone już z tem dzieci, śmiały się ukradkiem.

Ciocia Mila z rumieńcami na bladej twarzy biegła od jednego do drugiego, starając się zaprowadzić możliwy jakiś ład i spokój, napróżno!

We mnie, to posępne, szare tło naszego domowego ogniska zbudziło wstręt nieopisany. O! stokroć większy; niżeli dawniej... I gdyby nie to, że myśl, jak ptak wylekły uciekała do Oleszyna, że czepiałam się rozpaczliwie wspomnień, tych najmilszych chwil jakie tam przeżyłam, byłabym chyba rzuciła wszystko i uciekła, uciekła ach, sama nie wiem dokąd, byle jak najdalej od tego piekła.

W ciągu dnia nie było czasu na gawędę z cicią Milą. Ta ukochana, intuicyą serca wszystko odgadła.

Oczy jej, rozjaśnione nagle, towarzyszyły mi wszędzie, gdzie się obróciła.

Dobrze mi było pod ciepłą pieczęcią tego spojrzenia.

Uważałam, że i pani Marya przygląda mi się bacznie, a nawet uczyniła luźną uwagę: „Jak też Paula wyładniała...”

Podrażniło mnie to.

Jak skąpiec ukryć chciałam przed oczyma takich pospolitych istot mój skarb — miłość moją.

Wieczorem, gdy już uciszyło się w domu wyspowiadałam się ciciu Mili ze wszystkiego.

Słuchała mnie upojona.

— Ach, Paulo... — powiada głosem nabrzmiałym łzami — ty jeszcze nie pojmujesz, ty pewno nie wiesz ile szczęścia daje uczucie odwzajemnione. Niema większego zebraka na świecie nad istotę, która przejść musi przez życie samotna.

Zażkała cicho, a mnie taki żal ogarnął i wyrzut nieledwie, bo przypominałam sobie, że ona będzie już zawsze samotna, że ta cudna pieśń radości i wesela, która gra teraz w mej duszy, dla niej będzie niedostępna. Biedna, biedna ciocia Mila!

Ja znalazłam już odpowiedź na wszystkie moje pytania, wątpliwości, tęsknoty; wiem, gdzie mieszka spokój, gdzie znajdę szczęście. Znalazłam ścieżkę, która z labiryntu na szeroki gościniec mię wywiedzie i ufna, szczęśliwa, jak gdybym dotąd nie widziała nic na świecie prócz piękna i prawdy, patrzę w przyszłość. Wszystko, co po za mną, niech się zapada w głąb...

1 Listopada.

Tak odwykłam od naszego rozkosznego życia, że wprost duszę się w tej atmosferze.

Mówiłam dziś z ojcem o Jerzyku. Ten chłopiec źle skończy. Uczy się haniebnie i taki ma przewrotny charakter, taki dziwny zanik moralny odczuwa się w każdym jego słowie, w każdym postępku, jak gdyby całe życie obcował tylko z łotrami.

Wyrzucam to sobie jak zbrodnię. Nie umiałam widocznie nim kierować i teraz ludzę się jeszcze tem, że może Edward... Wstyd mi się przyznać, ale ja ogromnie tęsknię. Ten ukochany zawiadnął mojem życiem bezpodzielnie.

Gdy mi bardzo ciężko, gdy coraz więcej obcą się czuję w mojem najbliższem otoczeniu, uciekam, zaszywam się w ką, przymykam oczy i marzę.

Ten mój wybrany, patrzy na mnie oczyma z turkusów, które się dziwną słodyczą i rzewnością mienia.

Widzę pomiędzy drzewami ściany murowanego białego dworu w Oleszynie, widzę dorodne dziewczyny o jasnych twarzach uwijające się wśród kwietników, widzę jak p. Błoński otoczył ramieniem swoją małżonkę i przechadzają się razem w kasztanowej alei i pewną jestem, że życie ich całe jest taką wspólną, zgodną wędrówką i serce mi się ku nim wszystkim wrywa.

Niekiedy.. ach, najczęściej, przesładuje mnie wspomnienie... Boże! jakąż potęgą jest miłość!.. Ależ ja to słowo „kocham”, które w szmerze liści spłynęło ku mnie takie drżące, lęklive, tą lękliwością właśnie spowiadające się z mocy uczucia i takie słodkie jak najśłodsze o szczęściu marzenie, słyszę wciąż, wciąż jak gdyby głos jakiś szeptał mi je do ucha.

I ja kocham... O! kocham! kocham przez wszystkie bóle i męki jakie przeżyłam, kocham całą tęsknotą uciśnionego serca, kocham dla tej przyszości jasnej, ucziwej i za tę ufność, z jaką mi ofiarowano dar tak wspaniały.

I będę miała swój cichy domek, a w nim słońca, słońca dużo i kwiatów i spokoju i miłości i cała nędza mego dotychczasowego istnienia w morzu niepamięci przepadnie.

Zamiast wody Letejskiej, pić będę miłość z czystego kielicha i tak mi będzie dobrze...

Nazajutrz wieczorem.

Mam ból głowy, bicie serca i taki zamęt... Lękam się, abym nie zachorowała.

O jakież ja sceny byłam świadkiem! Dzisiaj z rana ojciec pogniwał się z panią Maryą. Oczywiście poszło im o pieniądze.

Pani Marya zaczęła wyrzucać ojcu, owe 4000 rubli, które miały jakoby wsiąknąć u nas, jak się wyraziła.

— Gdybyś był człowiekiem honorowym—krzychała— to byś pieniędzy tych nigdy nie naruszył.

— I tak świadczyłam ci łaskę, wychodząc za wdowca obarczonego dziećmi. *Takimi* dziećmi—rzuciła zjadliwie w moją stronę.—To był fundusz mój i nie mieliście do niego prawa. Dziecko moje przez was będzie żebrakiem.

Ojciec usłyszawszy to wpadł w wściekłość. — To jeszcze za mała zapłata 4000 rubli za opinię zaszarganą, którą swoim nazwiskiem przykryłem—zawołał, zrzucając ze stołu, co w rękę wpadło.

Pani Marya zmieniła się w furię. Jakże straszne bywają kobiety pasjonatki.

Pochwyciłam za ramię Jerzyka, Halę i chciałam ich wyprowadzić z pokoju, ale tu dopiero w całej rozciągłości poznałam, jaka to już gawrona toczy te młode organizmy.

Zaczęła się wprost gonitwa po pokoju. — Nie pójde,—wołał Jerzyk.

— Ja jestem mężczyzna i muszę pomódz ojcu, gdy go baby obsiadą. No, no, dałbym ja wam, gdybym był ojcem.

I śmiał się takim cynicznym śmiechem użytego starca i zagrzewał do oporu Halinę, rozfiglowaną i wykrzywiającą pociesznie swoją drobną buzię, jakby żywa jaka ilustracja tego, co ojciec z panią Maryą, zapamiętali w gniewie, rzucali sobie w oczy, na nic nie zważając.

I kiedy bezsilna, zwróciłam się z błaganiem do ojca, aby na dzieci uważał, w uszy moje wpadł zjadliwy, dyszący głos pani Maryi,

— Frymarczyłeś własną córką—krzychała.— Wystawiłeś ją na pokusę takiemu Tarczyńskiemu.

Może nieprawda? Zaprzecz, zaprzecz jeśli możesz... Gdyby nie moja opieka, gdybym nie była jej strzegła, dziś byłaby już z pewnością...

Nie dokończyła. Z siłą, na jaką tylko najwyższa rozpacz zdobyć się może, uwięziłam jej ręce w swoich, uwięziłam spojrzeniem głos jej w krtani. Alem i sama

nie mówić nie mogła, bo nagle wielka ciemność rozlała się w koło mnie i upadłam zemdlna.

I teraz czuję jeszcze jak nerw każdy drży we mnie, jak zimny pot oblewa mi skronie.

Mój Boże! Przecież ja nie nie zawiniłam! Oddaję się Edwardowi mojemu tak czystą jak wówczas, gdy matka moja święta odchodziła odemnie. Ten pocałunek Tarczyńskiego... Nie, nie, nie! To niemożliwe, abym ja miała za niego odpowiadać. To byłoby potworne!

Czemu ta Roma tak dziwnie patrzy na mnie. Siedzi w kącie otulona szalem na głowie i tylko, wielkie, gorejące jak pochodnie roczy patrzą i patrzają we mnie.

Ręka mi drży i tak się czegoś lękam... Czy to przecucie, czy może tylko wpływ tej sceny okropnej...

Ojciec, ojciec, coś ty dzieciom swoim zgotował!

W kilka dni później.

Roma wyrzekła dziś straszne słowa. — Takie, jak my, powinny zniknąć z powierzchni ziemi.

Takie, jak my, nie powinny ani kochać nikogo, ani wyjść za męża, bo to nieuczciwie! Usta piętnastoletniej dziewczyny wyrzekły straszną w swej okrutnej nagości prawdę.

Boże, spraw, aby mi się rozum nie pomięszał.

Godzina 2 w nocy.

Och, jak wicher lka... W noc taką bezgwieździstą, czarną, ponurą jak oteblań nękanego wyrzutami sumienia, chyba cała przyroda lka i płacze. Gdzie ten mój... Gdzie ten ukochany?... Ja muszę głowę przytulić do jego piersi, bo mi myśli rozsada czaszkę, muszę spojrzeć w jego kochające oczy! Edwardzie, wszak tybyś mnie nie odstąpił... tybyś mnie przecież za winy ojców nie karał?...
Roma powiedziała to w gorączce.
Ona jest chora! Ona jest szalona! Więc każda z nas miałaby stracić prawo do jakiegóż odrobiny osobistego szczęścia dla tego że... że...
O mamo moja, wyproś ty mi trochę spokoju u Boga.

W dwa dni później.

Burza ucisza się we mnie. Na niebie słońce, choć blade.

Po kilku dniach deszczu takie miłe! Może nareszcie dojdę do równowagi. Edward powiedział, że przyjedzie na Święta Bożego Narodzenia. Jak to jeszcze daleko! A już myślę tylko o tem, aby być z nim, przy nim na zawsze. Tam moja przystań, mój spokój!...

1 Stycznia.

I oto już po wszystkim! Jakże to dziwne! Nie płaczę, nie rozpaczam... Godziny całe spędzam przy oknie i patrzę jak drobne, drobnutki płateczki śniegu lecą gdzieś od chmur coraz niżej, niżej i układają się na ziemi.

Ta białość, ten całun śnieżny, który tak miękko ziemię otula i te płatki białe jak skrzydełka motyle wirujące w powietrzu, działają na mnie kojąco. Zdaje mi się, że nerwy usypiają, myśli usypiają i że we mnie nic już bólem nie drga, niczego nie żałuję i niczego nie pragnę...

Z dniem dzisiejszym zamykam mój pamiętnik. Otworzę go po latach, jeśli lata żyć mi przeznaczone. Czy znajdzie się jeszcze na tych kartach: zapomnienie i ucieszenie dla mnie, czy na opustoszałej drodze zakwitną krzaki cierniowe i wbiją mi się w stopy i znowu jęknę, nie wiem.

O jak mi zimno! Ten chłód sprawia mi ból fizyczny. Jak on wsiąka we mnie, jak się wżera i w mózg i w serce... Ach, gdyby tak zlodowacieć, zaniknąć, usnąć na zawsze!

Dzwonek w przedpokoju dzwoni... Na ulicy gwar, muzyka... Sanki uwijają się, wyprzedzając wzajemnie, dzwonki brzęczą, jęczą... Ach, jak mnie ten hałas męczy.

Pani Marya rozradowaną twarz okazuje mi co chwila. To ból mój ją cieszy. A ten ojciec ze swojemi przymówkami:

— Ty nigdy nie będziesz potrafiła wzbudzić w nikim miłości trwałej... Ciebie się każdy zleknie... Twoich kaprysów, twoich dziwactw... Jeszcze by też kto dziwołaga takiego brał na żonę...

Więc to ja winna? Cóż mnie to wreszcie obchodzi... Ja, czy kto inny... Edward już nie powróci, a mnie ogarnia coraz większa senność... Muszę odpocząć.

Wieczorem.

Przyjechał, kiedym go się najmniej spodziewała.

Gdy dzwonek ozwał się w przedpokoju, mieśiłam ciasto na kluski.

Służąca, jedyna jaką mamy, zmywała posadzkę brudną, rozczochrana, więc pani Marya wpadła do kuchni, wołając:

— Paulo, otwórz. Katarzyna bosa i roztarzana. Otwórz, to pewno listonosz... Spiesz się...

Pobiegłam do przedpokoju z umączonemi rękawami i włosami, z rękawami zawałanemi ciastem.

Drzwi się otwarły... Skamieniałam...

Przedemną, stał mój piękny, mój wytworny Edward i stęsknionemi oczyma szukał swojej Pauli.

No, bo przecież ta umączona, przepasana wielkim, kuchennym fartuchem dziewczyna... Ależ tak! To ona... Paula... Chce ująć jej ręce i odsuwa się, a ten grymas na jego twarzy bezwiedry, a taki wyraźny... O Boże!

Nie wiedziałam, gdzie go prosić... W saloniku stoi szaflik z wodą, na podłodze kałuże i porozciągane ścierki.

„Pudło fortepianowe” wydaje się jak czarna czeluść jaka, bo nawet franki są zdjęte, a na okna spadają dywany zwieszające się z balkonu wyższego piętra.

Kulawy fotel, kanapa o trzech nogach, stół z popękanyim blatem, figurują na samym froncie. Obraz nieporządku i nędzy w swojej najwstrętniejszej formie, uderza wzrok Edwarda.

Oczywiście, tu wejść nie można. Chwytam za klamkę do pokoju stołowego, lecz z tamtej strony strony silne plecy tamują wejście.

— Zlituj się, Paulo, wiesz przecie, że nie ubrana...—woła pani Marya.

Rozpaczliwy wzrok zwracam w około. Gdzieś go przecie wprowadzić muszę. Do pokoju dzieci wchodziło się przez kuchnię.

— Niech pan oczy przymknie...—prosiłam nieśmiało, bo przypomniło mi się, iż w kuchni suszy się właśnie cały sznur białizny infanta panu Maryi.

Edward odczuwający doskonale śmieszność położenia, zmieszany i mojem zawstydeniem oniesmielony, wsunął się za mną do pokoju dzieci.

I tu był punkt kulminacyjny wszystkiego! Ile tylko nieporządku, nieładu, chaosu, dwoje najrozpuśtniejszych dzieci stworzyć potrafi, to stworzyli Jerzyk i Hala.

Kiedyśmy weszli, Jerzyk w wyrazach przynoszących ujmę nawet synowi stróża, lub pomywaczki, wymyślał Romie, kołyszącej w sypialni pani Maryi skrzeczącą jej infanta.

Przez drzwi otwarte widziałam twarz jej, która na widok Edwarda falą krwi się oblała, a oczy z wyrazem nienawiści zatrzymały się na Jerzyku.

Znalazłszy wolne od rupieci i zabawek dziecinnych krzesło, wskazałam je Edwardowi i ucieklam.

Czas był po temu. Taki spazm wzięł moje gardło, że zdawało mi się, iż się lada chwila uduszę. Gryzłam palce z bólu.

W kwadrans potem, przebrana już i spokojniejsza, tym kamiennym spokojem uderzonego obuchem i ogłuszonego człowieka, stanęłam przed Edwardem.

Jakiej siły potrzebowałam, aby uśmiech banalny przywołać na usta i banalnym zacząć go o podróż pytaniem.

Bo nie śmiałam inaczej. Głos tajemny szeptał mi, że pilnować muszę i oczu i słów, że moja duma nie pozwala na nie tkliwszego i że od niego teraz zależy ukoić moją twogę.

Roma, zgadując co się ze mną dzieje, wyprowadziła dzieci; zostaliśmy sami.

Mogłam była policzyć uderzenia mego serca.

Edward czy się ulitował męce mojej, czy go bladość moja przeraziła, bo niepodobieństwem jest przecie, abym mu nagle zobojeźniała, przyciągnął mnie ku sobie.

— Paulo — szeptał. — Jak ja tęskniłem!...

Ukryłam twarz na jego piersi.

Wszystkie twogi, wszystkie bóle odeszły ode mnie.

— Dziś powiem ojeu twemu... — rzekł. — Po co zwlekać.

Ale ojciec wrócił bardzo późno; nazajutrz Edward jakoś nie mógł się odważyć...

A potem już zauważyłam, że patrzył, badał, bladł i smutniał.

Ojciec był niemożliwy. Traktując go jako już do rodziny należącego, nie krępował się...

Pewnego dnia wieczorem, Roma przypadła do mnie i z głuchą wściekłością szepnęła: „Prosił Edwarda o pożyczkę”...

Nie jęknęłam nawet.

Wydało mi się, że ktoś bardzo, bardzo wolno jakimś ostrem narzędziem uderza w moją głowę i że ta głowa rozpada się w milionowe cząsteczki.

Dobrze mi z tem było, bo nie myślałam już o niczem.

Siedząc potem ukryta za samowarem, badałam twarz mego Edwarda.

Smutna była bardzo i widocznem było, że go coś nęka, męczy. że on tu między nami czuje się dziś więcej jeszcze obcym, że mu tu źle i uciec pragnie.

Ojciec z panią Maryą prześcigali się w opowiadaniu płaskich anegdotek, w najpospolitszych wyrażeniach i śmieli się tym grubym, bezmyślnym śmiechem, który drażnić musiał Edwarda.

I całe to tło... Te fajansowe talerzyki, pogięte łyżeczki, wyszczerbione podstawki do szklanek, mdły zapach lampy naftowej i ten pokoiak taki szary, ubogi w sprzęty, uderzyły mnie dzistaj jak gdyby po raz pierwszy. Jakież to wstrętne!

Spojrzałam na ojca, na panią Maryę, na zgaszoną twarz Romy i wykrzywioną wiecznym grymasem twarz Jerzyka.

Jak oni wszyscy dziwnie wyglądają... Jacy inni...

A wtem słyszę głos pani Maryi.

Wszeczęła rozmowę o miłości ze zwykłym sobie brakiem taktu.

— Jeżeli się kocha — entuzjazmowała się, wyblakłemi oczyma kokietując Edwarda — wszystko się wybacza i nie nie razi. Prawda, panie Edwardzie?

Milczał.

Na czole jego leżała wielka chmura zamyślenia, oczy błyszczały chłodnym połyskiem wypolerowanej stali.

Po długiej, długiej chwili ciężkiego milczenia odpowiedział smutno, ale stanowczo:

— Przeciwnie, pani. Miłość potrzebuje delikatnych, jasnych barw i jak roślina pozbawiona światła więdnie, tak samo i uczucie, nieprzyjazne warunki zmrozić potrafią.

— Ale jeśli się kocha... — upierała się pani Marya. — Bo to dobrze filozofować na chłodno. Ale gdyby pan naprzykład kochał i przedmiot pańskiej miłości nie odpowiadał tej szacie tęczowej, w jaką pan go ubrał, cóż wtedy?

Edward przygryzł wargę takim nagłym ruchem, jak gdyby go ból schwył i on nad nim zapanować nie może.

A potem wolno, namyślając się, rzekł:

— Trzeba posiadać tyle mocy nad sobą, aby pokonać najgorętsze pragnienia serca, jeśli ich rozum nie wspiera.

I nie więcej.

Dopiero gdy się żegnał ze mną, widziałam, że się mocije z sobą ogromnie, że radby mi chwilę tę osłodzić, bo wie, że nie powróci tu więcej i że ja tu zostanę taka smutna, taka opuszczona.

We mnie duma wywołała nagłą reakcję.

Ze swobodnym uśmiechem podałam mu rękę:

— Pan jutro odjeżdża?

— Chciałbym... — wyszeptał.

Zrozumieliśmy się.

Białe płatki śniegu padają wciąż i w świetle księżycowym błyszczą jak drobne, brylantowe punkciki. Noc... Cisza...

Nie już nie cierpię, nie mnie nie boli.

Tak najlepiej.

Tylko jeśli ja mam wejść znów jutro w tę szarzyznę życia, w to wstrętne koło walki o grosz, wrzasku dzieci, kłótni rodziców, zajęć kuchennych z tem przeświadczeniem, że w tych wstrętnych ramach zamknie się już dla mnie wszystko...

Mamusiu moja, czy ty nie me uczynisz dla swego dziecka? Pójdę do ciebie.

(Dokończenie nastąpi).

Wigilja w Nervi.

28 Grudnia 1900 r.

Trochę to dziwna Gwiazdka bez śniegu, wśród róż i kamelii, nie mroźna, ale taka ciepła, taka wygrzana słońcem, jak niekiedy bywa nasze polskie lato. A wokół kwiaty, zielen, motyle. Więc choć się w duszy mówi: „24 grudnia”, to oczy nie wierzą, bo widzą maj. A jednak Wigilja, i bardzo tu świątecznie dzisiaj.

Wąziutka, biegnąca pochyłym łukiem „via del Pozzo i via Corvetto” zakwitły istnym ogrodem na kamiennym chodniku. Bo, że to sklepy małeńkie, a każdy obfitością przygotowanego towaru radby zaimponować, więc stragany wyniesiono na ulicę i tu na stołach, na białym obrusie malowniczo grupują się wszelkie bogactwa południowej fauny i flory, a wszystko ku pożytkowi gastronomicznemu dla gromadki mieszkańców Nervi.

Ale że to wielec na piękno wrażliwy ten czarnooki włoski lud, więc nawet to, co od wszelkiej estetyki dalekie, potrafił strojno, a nawet poetycznie przybrać. Więc jakieś potworne morskie ryby trzymają w zębach gałązki cytrynowych krzewów i zanim oko kształty wodnego potworka ogarnie, pierwej mu złocisty owoc wśród zieleni zaświeci. A zaś temu, co z czworonożnych najbrzydsze, grubą skórę przybrano wonnemi różami, i w rozchylone ryjki nasypiano różowe białozółkowane kwiaty kamelii, jeszcze rosą prawie przytrząśnięte. Olbrzymie kręgi ciemnego sera służą za podstawę choinkom, które dnia tego zapanowały nad wszystkim, co kwitnie i wonieje na Rivierze.

Więc zupełnie jak powiew naszych sosnowych borów dolatuje zewsząd zapach zielonych igieł. I wtedy poczyna być trochę nieswojo wśród tych włoskich domów pomalowanych niby teatralna dekoracya, bo z ich otwartych okien, z pod zielonych żaluzji żadne blizkie oczy nie patrzą. Więc się też czempredzej zbiega na dół, po wązkich drobnym żwirkiem wysypanych pasażach, co wiodą na morze.

Tu zawsze cudnie. Wigilijny ranek w Nervi nie był słoneczny, niebo srebrzyło się tylko smugami obłoków, od których morze stało się perlówce i dalekie, a dopiero tam gdzieś na krańcach drgało wązką nicią złocistych promieni. Ale z wolna rozstąpiły się obłoki, mgły pozniwały i niebo z morzem połączyło się w jedną wielką

błękitną przestrzeń, po której szedł od słońca oślepiający, szeroki gościniec ogromnego światła. Wtedy tworzy się przed oczyma jakiś bezmiar nieskończony, jakaś niebiańska wprost szczęśliwość, która ogarnia i duszę. A kiedy się serce rozbudzi z tej światłości, to mu się wydaje, że przez moment było gdzieś bardzo daleko, w jakiejś krainie błogiej, którą się ogląda nie wzrokiem, ale już tylko uczuciem. I wtedy, prawie mimowoli to uczucie kieruje kroki w stronę przeciwną morza, na kwiecisty cmentarzyk Nervi.

Droga do niego trochę uciążliwa, po wyniosłości stromej, co rodzajem wązkiego korytarza wije się między szarymi murami sąsiednich ogrodów. W górze po nad murami stoją żalobne prześliczne cyprysy, a nad nimi już tylko niebo. Raptem droga skręca w bok, urywają się mury i przed oczyma leży dolina okoloną dwiema wielkimi górami. Jedna zielona, pełna drzew, ogrodów, jakaś bardzo żywa i pogodna, to San Ilario; druga pusta, prawie martwa, w cztery tepe garby na zboczu wygięta, to Monte Moro. Wprost niej, ku niej zwrócony, bieli się na południowym stoku San Ilario cichy cmentarzyk. Dziwny to cmentarzyk, jakby kwiat, jakby jeden promień słońca. Leży on na sześciu stopniach, na których rozsunął szeregiem mogiły swoje, więc odrazu od jednego spojrzenia widzi się go w całości.

W miejsce grobów ma raczej wazniehne kwiatowe grządki, nad niemi wznoszą się krzyże niskie, białe, co zdala wydają się rozkwitłymi kielichami lilii. Pod ścianami, jeden tuż obok drugiego stoją marmurowe skromne białe pomniki, i tak im tam zacisznie w zwojach kwitnących róż i w bluszczowych gałązkach, które zewsząd je otaczają, zwieszają się spletaną gęstwiną z ramion krzyżów, jakby świadczyły o błogim spoczynku tych, nad którymi się wznoszą. Ale jest tam w pośród tych grobów jedna mogiła, której widok ścisła trochę serce, jeśli to naturalnie jest polskie serce.

Młody bo dwudziestokilkoletni Polak pozostał tu, na tem dalekiem Campo Santo, i tylko pełna bolesnego płaczu prośba rodziców oddaje tę mogiłę w opiekę rodakom. Rodacy pamiętają, bo grobowy kamień czysty, często ukwiecony, po żelaznych kratkach pnie się zielen i pogodnie nad mogiłą.

A w dali, między ramionami posępnej Monte Moro i zboczem zielonej San Ilario widać pod niebem morze w białawych mgłach oddalenia, nieskończone, błękitne. I wydaje się, że to jest właśnie ta droga, w którą poszły dusze tych, których prochy w ciszy pozostały na cmentarzu. Jest coś prawie zaziemskiego, jakaś allegorya wieczności w tej przyrodzie, co otwarła widokiem tylko jeden daleki gościniec tym białym grobom, gościniec jasnych słonecznych promieni, które idą do nich po falach jak szlak pogodny, niezmiernie jasny, niby jakaś szczęśliwość, do której dochodzi się po przez grób.

To też i niesporo opuścić cmentarzyk, a tem ciężiej, że tam w dolinie czeka wigilja wśród obcych. I jeżeli jakiegokolwiek uczucie jednoczy tych, co nie dzieląc się Bożym chlebem, muszą jednak do wspólnego stołu zasiąść, to chyba jedynie to jakieś mimowolne, prawie co chwilowe zrywanie się duszy do powrotu do swoich.

I wtedy dopiero odetchnęło się swobodnie i znowu poweselały twarze, kiedy każdy powrócił do siebie i popatrzył z okna na tę noc cichą, pełną gwiazd, srebrzącą się smugą księżycowego światła na rozkołysanych falach morza, wonną od kwitnących róż i pomarańcz, najcudniejszą noc Rivierzy.

Al. Łapińska.

Kronika działalności kobiecej.

— Jedno z pism niemieckich pomieszcza bardzo wytrawny, praktyczny i rozsądny artykuł Elizy Droemer pod tytułem: „O paniach domu, do pań domu”. W artykule tym roztrząsa autorka ważną sprawę zapracowywania się gospodyń w codziennym życiu, pomimo pomocy służby, tak, że niejedna pani nie ma czasu przeczytać nawet pisma jakiegoś literackiego, lub pożytecznej książki ku rozrywce umysłu i podniesieniu ducha nad codzienną krętaninę. Osobiste wglądanie pani we wszystkie szczegóły domu dotyczące, jest naturalnie koniecznym, ale są powszednie roboty i zajęcia, któreby służące mogły bez dozoru i pomocy odrobić samodzielnie, a pani zyskałyby na czasie i odpoczęła. Ze zbyt ciężkiego przeciążenia pracą domową, z ciągłej tej szarpawiny między szczegółami, powstać z czasem może zniechęcenie, wyczerpanie zdrowia, pogody umysłu i nerwowość, która w dalszych skutkach prowadzi za sobą niecierpliwość pani domu, starcia ze służbą i swary napelniające życie niepokojem. Są gospodynie, które bezustanku robią wszystko własną ręką, a służące tylko pomagają. Tym sposobem służba nigdy się nie nauczy odpowiedzialności za swoje zajęcia i spuszcza się na panią w każdym drobiazgu. Nie jest bynajmniej obowiązkiem gospodyni samej codziennie chodzić na targ z kucharką i czynić zakupy; raz na tydzień zupełnie wystarczy: wie się ceny, wszystkiego, ważyć mięso, masło, i t. d. można w domu. Tym sposobem i kucharka nabierze wprawy w kupowaniu i będzie wiedziała przytem, że jej się coś przecie powierza. Służąca która sprząta pokoje, pierze, nakrywa, też niech sama to odrabia, a gdy swoje skończyła, trzeba iść i zobaczyć jak to zrobione, ale stać nad nią nie ma potrzeby, jeśli już jest w domu dłużej i wie co i jak ma robić. Pani Droemer radzi służbie napisać tabelki i zawiesić w kuchni i stancyi ich mieszkalnej, a na tabelkach tych powinien być wyrażony cały porządek dnia od rana do wieczora, a na innej tabelce kolejna robota całego miesiąca. Nasze „młodsze” oburzyłyby się pewnie na tę dużą pracę i systematyczny ład, do jakiego, bez żadnego szemrania przystępują służące niemieckie. Przepis dla „młodszej” jest taki: o godz. przed 6 rano wstać, ubrać się, uprzątnąć jadalnię, nakryć stół i przyrządzić śniadanie na godz. 7 i pół; po śniadaniu zaraz zmyć naczynie i sprzątać pokoje, nakrywać do obiadu o 1 i pół; zmywać, robić kawę i nakrywać do podwieczorku; o godz. 4, zmywać, przyrządzić kolację i podawać o godz. 7 i pół; zmywać, słać łóżka i kłaść się spać o 10 i pół. Między temi czynnościami są zajęcia inne, jak pranie dwa razy w miesiącu, raz mniejsze, raz większe, mycie okien 4-ry razy na miesiąc, sprzątnięcie „wielkie” co dwa tygodnie. Tyle wymagają panie niemieckie od „młodszej”, która bierze miesięcznie daleko mniej niż nasze nieinteligentne i leniwe „panienki” i „panie” za 5 lub 6 rubli na miesiąc. Ale w Niemczech służące są kształcone na służące w szkołach i w domach przez panie, którym się chce uczyć służby ich obowiązków. My szkół nie mamy w Warszawie w którychby „młodsza” się dowiedziała co to jest być „młodsza” a „kucharka” co to

jest być kucharką, starajmyż się przynajmniej, żeby służba u nas w domach żyła w ładzie i obowiązkowości, w bezwarunkowym stosowaniu się do przyjętego zwyczaju i porządku i nie wyręczamy sług naszych, bo w naszych zadaniach i pracach one nas pewnie nie wyręczą. Uczmy je z cierpliwością wszystkiego, ale jak już umieją, niech pracują same.

— Jak donosi jedno z pism angielskich, zaczyna się nawet poza chińskim murem ożywiać ruch niewieści. W Szang-haj, n. p. grono kobiet porzuciło zapleśniałe, często barbarzyńskie zwyczaje i cywilizując się po europejsku, założyło osobne pismo kobiece, które ma same tylko współpracowniczki. Chinka przebrała się tam ze swego jaskrawego i niezgrabnego chałacika i szarawarów, zarzuciła tyranizowanie nogi zmieniającego ją w kopyto, a zamiast twardego, ciężkiego obuwia nosi jedwabne pończochy i lekkie trzewiki angielski z niskim obcasem. Obok dobrych stron kultury przyjmują jednak chinki bez wyboru i różne naleciałości europejskie jak jeżdżenie na kole, używanie pudru i t. p. Pod względem stosowania medycyny zaszyły też duże zmiany w świecie niewieści; porzucono tłum przesądów, guseł i czarów, a przyjęto wiedzę, której krzewicielkami jest też i kilka kobiet biegłych w nauce lekarskiej. Dentystyka tylko pozostała starej daty, bo zamiast nowej europejskiej metody, zamiast n. p. rwać zęby przyrządami chirurgicznymi przy pomocy znieczulenia, chinki mają cierpliwość dać sobie zęby wyjmować przez niszczenie dziąseł, przez tarcie, póki ząb nie wyleci! Cywilizacja, oświata, po wierchu, dopiero muska ludność niebieskiego państwa, i jeszcze dużo wody upłynie, zanim przeniknie do głębi społecznych ciemności chińskich.

— Niedawno zmarła w Bengalu znana literatka Srimadi Banalata Debi, wydawczyni pisma dla kobiet „Antaphora”, wiele obiecująca poetka. Była córką reformatora społecznego Babu Sasi-pada Barerji i od lat dziecinnych pod jego kierunkiem wychowywana, miała swym talentem popierać ideały swego ojca, cóż, kiedy umarła doszedłszy zaledwie 21 lat. Jeszcze będąc sama uczennicą w szkole, wspomagała trudy nauczycieli w udzielaniu lekcji mniej zdolnym koleżankom, a potem ukończywszy swe wykształcenie, założyła w Baranagore Stowarzyszenie kobiece, w którym zjednoczyły się przeważnie kobiety Hinduskie. Za radą ojca założyła swe pismo specjalne i dziś niemal w każdym domu indyjskim znajduje się jej „Antaphora”, której ozdoba były przedewszystkiem jej własne poezye i artykuły. Pomimo młodego wieku, miała Debi wielki wpływ na rozwój idei postępowych i społecznych w Indyach.

Myśli Deotymy.

Apostoł dawno już głosił z Patmosu,
Że każdy naród ma swego Anioła,
Co go prowadzi po bezdrożach losu,
I posłannictwem jakby hasłem woła.
Dziś, mędrej wiedzą, że jeszcze nad temi,
Jest anioł wyższy, Anioł całej ziemi!

Dziejów przywódca, wiekami skrzydlaty,
Przed narodowych aniołów zastępem
Idzie, i trzyma pochodnię Oświaty.

Wiek nasz go nazwał: Postępem.
Czas, jego siłą. Ruch, jego żywiołem.
W żelaznej puszczy, porosłej od mieczy,
Obeliskowem kierując się czołem,
Ku bożym celom wiedzie Ród człowieczy.
Gdy łyż pokoleń wezbrane wyleją,
Głęb ich odmierza: kotwicą, nadzieją,
Kiedy natrafi na góry lub tamy,
Zwolna, śrubową okrąża je drogą;
A wtedy ślepi, co dojrzeć nie mogą
Szczytu, wołają „Wracamy!”
Płonne obawy! Duch wszystko pokona,
Ni go przepaści ustraszą, ni ciernie.
Matką mu Wieczność. Cierpliwy jak ona,
Idzie ku niebu; nieznacznie lecz wiernie.
Są jednak przerwy w dziejowej podróży.
Nie z wodza winy, anioł się nie znuży.
Gdy ludzie sami, siejąc narzekanie,
W pół drogi siedzą strudzeniem przykuci,
Postęp, na chwilę, zachmurzony stanie.
Stanie, lecz nigdy nie wróci.

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu” dołącza się:
Na falach losu, powieść przez Artura Dourliac,
przekład z francuskiego Z. S. ark. 2 i *Jedynę
moje dziecko*, powieść przez Florence Marrayat,
przekład z angielskiego Z. S. arkusz 7.

Zeszyt 10 kop.

Zeszyt 10 kop.

Nowe ilustrowane tanie wydanie dzieła

OJCA PROKOPA kapucyna

Żywoty Świętych Pańskich

na wszystkie dni roku,

z dodaniem do każdego pożytku duchownego i właściwej
modlitwy, tudzież

NA WSZYSTKIE UROCZYSTOŚCI I ŚWIĘTA.

KRÓTKIE NAUKI.

„Żywoty Świętych” wychodzie będą począwszy od dnia
10 grudnia r. b. w 20-tu tygodniowych zeszytach, z wizerunkami
świętych w formacie dużej 8-ki po cenie kop. 10
za zeszyt.

Kto od razu opłaci w Warszawie rub. 1 kop. 80, a z prowincyi nadeśle rb. 2 kop. 40 otrzyma całe dzieło.

Za przesyłkę pocztową dopłaca się do zeszytu kop. 4.
Na żądanie wysyła się za zaliczeniem.

Skład główny w Towarzystwie Akcyjnym
Odlewni Czcionej i Drukarni S. Orgelbranda
Synów, Krakowskie-Przedmieście 66. Nabywać
można we wszystkich księgarniach.

Treść: *Przy kominku*, przez ??.—*Więzy ducha*, powieść przez Saryusza. — *Przędza*, wiersz przez Szczęsną. — *Ruch muzyczny*, przez Ad. Dobrowolskiego. — *Anima vagans* powieść, przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — *Wigilia w Nervi*, przez Al. Łapińską. — *Kronika działalności kobiecej*. — *Myśli Deotymy*.

Dodatek obejmuje: *Na falach losu*, powieść przez Artura Dourliac, przekł. z ang. Z. S. i *Jedynę moje dziecko*, powieść przez Florence Marrayat, tłumaczenie z angielskiego Z. S. — Przegład mód, 34 wzorów i robót z opisem. — Sekretu gospodarskie. — Dyspozycję obiadu.